

W mroku

- Pospiesz się!

- Zaraz schodzę! - odkrzyknąłem i wygładziłem poły marynarki. Z podwórka dobiegł mnie dźwięk klaksonu samochodowego - rodzice jak zwykle się niecierpliwi. Spojrzałem na zegar na ścianie, była za piętnaście dziesiąta. „Do dziesiątej jeszcze kwadrans. Mam mnóstwo czasu, a oni jak zwykle panikują”, pomyślałem. Rzuciłem jeszcze szybkie spojrzenie na lustro: czarny garnitur doskonale harmonizował z granatową koszulą i bordowym krawatem. Byłem gotów. Zarzuciłem futerał ze skrzypcami na plecy i zbiegłem na dół.

- Powodzenia i połamania rąk - rzuciła za mną babcia, kiedy przemknąłem koło niej.

- Dzięki!

Wybiegłem przed dom, szarpnąłem za drzwiczki naszego volkswagena i rzuciłem się na fotel.

- Przegapisz koncert. Wiesz, że cała szkoła na ciebie liczy, byłoby głupio się spóźnić.

Oto cała mama - zawsze bezpośrednia i rzeczowa, ale dzięki tym cechom osiągnęła sukces, jest dyrektorem galerii sztuki w naszym mieście. Bardzo ją kocham i jeszcze bardziej podziwiam - robi to, co lubi a jeszcze przy tym zarabia i pomimo swoich czterdziestu lat wygląda na studentkę.

Tato prowadził i jak zwykle łamał wszelkie możliwe zakazy i ograniczenia. Mama wyjątkowo nie protestowała.

- Kurczę, jeśli utkniemy na czerwonym świetle, to nie zdążymy.

W dali zobaczyłem zielone światło i jeżeli chcieliśmy przejechać skrzyżowanie, to istotnie musieliśmy się pośpieszyć. Teraz i ja zacząłem panikować.

Nadal świeciło zielone, ale pewnie już niedługo Tato znacząco przyspieszył, lecz na sygnalizacji pojawiło się pomarańczowe. Byliśmy tak blisko...

„Spóźnię się!”. Tato jednak nie dawał za wygraną. Wjechał na skrzyżowanie już na czerwonym. Usłyszałem pisk opon. Obróciłem się. Zobaczyłem przód ogromnego tira, który był o centymetry od naszego auta. Otworzyłem usta w niemym krzyku. Zgrzyt metalu i kobiecy krzyk były ostatnimi rzeczami, które usłyszałem, zanim pogrążyłem się w ciemności.

Czułem ból. W nogach, rękach, w klatce piersiowej. Wszędzie. Nic mogłem się poruszyć. Słyszałem też dźwięki - regularne pikanie, szum jakiejś maszyny. Jednocześnie zaczęły do mnie docierać wspomnienia z wczoraj? przedwczoraj? sprzed tygodnia? Nie wiem... To było straszne... Znów jechałem przez skrzyżowanie i jak w zwolnionym tempie widziałem zbliżającego się tira, który uderza w bok naszego samochodu.

Wtedy dotarło do mnie, że nie byłem w aucie sam.

RODZICE!!! Co z nimi? Czy wszystko w porządku? Czy są cali? Czy żyją?

Otworzyłem oczy, lecz dookoła nadal panowała ciemność. Co jest?! Spróbowałem poruszyć ręką - nie byłem w stanie. Chciałem podnieść głowę - też nic. To samo z nogami. Wtedy zrozumiałem, wcale nie otworzyłem oczu! Nie miałem nad nimi kontroli, podobnie jak nad resztą ciała. Leżałem na wznak na szpitalnym łóżku całkowicie sparaliżowany!

Zapragnąłem krzyczeć - głośno i z całej siły, aby wyrzucić z siebie cały strach i ból. Jednak krzyk był tylko w mojej głowie, bo usta miałem nadal zamknięte.

Ponownie pogrążyłem się w nicości.

Ocknąłem się. Słyszałem głosy, lecz teraz nie mechaniczne, lecz całkowicie żywe. Początkowo nie rozumiałem słów, odbierałem tylko dźwięki, ale po chwili zaczął do mnie docierać ich sens.

- ...było straszne.

Głos jakby znajomy. Tyle razy wołał mnie na obiad, krzyczał, żebym się pośpieszył i dawał reprimendy, gdy zbyt późno wracałem do domu. Mama.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć... Dlaczego to właśnie my? Dlaczego w nas musiał uderzyć ten przeklęty tir?... - przerwała na chwilę - Przecież on jeszcze taki młody, całe życie przed nim... A teraz? - rozplakała się.

- Widocznie tak miało być - odezwał się milczący zwykle tato.
- Jak możesz tak mówić?! - żalność mamy błyskawicznie przerodziła się w gniew. Podniosła głos.
- Nic nie rozumiesz! Nigdy cię przy nim nie było. Wiecznie zapracowany i milczący! Żadnych słów otuchy, pocieszenia! To wszystko twoja wina! - gdyby nie ty i ten twój samochód... - znów usłyszałem szloch.

Przez chwilę żadne z nich nic nie mówiło. Chciałem wziąć ich za ręce, przytulić oboje i powiedzieć, że nic mi nie jest, że to tylko zły sen...

- Przepraszam... wcale tak nie myślę. - usłyszałem głos mamy - Uniosłam się. Najpierw wypadek, potem wieść, że nasz syn jest jak roślina. Wszystko to strasznie mi ciążyło, ale wiesz, teraz już mi lepiej. Przepraszam cię jeszcze raz. - znowu płacz.

- Nie szkodzi... Ciii, już dobrze - próbował ją uspokoić.

- Czuję się bardzo zmęczona. Minał już miesiąc od wypadku, a wydaje mi się, jakby upłynął rok. Nie wiem... nie wiem, czy dam radę.

Umilkła. Przez chwilę słyszałem szelest ubrań, a później trzask zamykanych drzwi.

Miesiąc. Miesiąc. Miesiąc. Powtarzałem w myślach to słowo tak długo, aż straciło sens. Nie mogłem uwierzyć, że tyle czasu upłynęło od wypadku - przecież w mojej głowie cały czas tłucze się echo zgniatanego metalu.

Znów się ocknałem. Nie wiedziałem, czy straciłem przytomność, czy spałem. Nic wiedziałem, czy minęła godzina, czy tydzień. Jedno wiedziałem na pewno nie chcę już dłużej tak żyć! Czy to w ogóle można nazwać życiem?

Byłem wściekły. Nie miałem pojęcia na kogo i dlaczego, ale mimo to byłem strasznie zły. Co ja takiego zrobiłem, że muszę tu leżeć jak bezwładna kukła? Czym zawiniłem? Przeciw komu? Czuję taki przypływ emocji jak nigdy dotąd. Serce łopotało jak szalone i pulsujący ból w skroniach rozłupywał mi czaszkę. Znów odpływałem.

Słyszałem, jak mama pytała lekarza, czy często ludzie budzą się ze śpiączki. Powiedział jej, że bardzo rzadko, ale należy mieć nadzieję i wierzyć. Zarówno jedno jak i drugie było u mnie na wyczerpaniu.

Powoli się przyzwyczajałem. Do miękkiej ciemności, do szumu maszyn, do odgłosów życia szpitalnego. Tylko nie do jednego – do bierności.

Paradoksalnie niemożność wykonywania jakichkolwiek ruchów była bardzo męcząca. Mimo wszystko jednak często próbowałem poruszyć jakąś częścią ciała, choćby palcem u stopy – bezskutecznie. Każda próba kończyła się łupaniem pod czaszką i utratą przytomności. Chociaż strata świadomości pojawiała się bez powodu, ot tak sobie. Zaczęło mnie to niepokoić, bo w pewien sposób przywiązałem się do mojego niby-życia i nie chciałem utracić nawet tej nędznej resztki, która mi z niego pozostała.

Bąłem się...

Obudziłem się. Wydawało mi się, jakby coś ciężkiego siedziało na mojej klatce piersiowej i uniemożliwiała jej swobodne unoszenie się i opadanie.

NIE MOGŁEM ODDYCHAĆ! Pałący ból w płucach był jeszcze mocniejszy. Jednocześnie do moich uszu dobiegł świrdujący, przenikliwy dźwięk, jakby syrena przeciwpożarowa zawyła tuż nad moją głową. Ból się wzmaczał, mózg domagał się tlenu.

Usłyszałem trzask otwieranych drzwi i kroki kilku ludzi wbiegających na moją salę. Mówili coś do siebie - nie rozumiałem, byłem już wpół zamroczony. Jakaś silna ręka odchyliła mi głowę do tyłu. Po chwili poczułem twardą, plastikową rurkę, wciskającą się do mojego gardła. Usłyszałem głośny szum nowej maszyny i ożywcze powietrze wtłoczyło się do moich płuc.

Zawróciłem wpół drogi...

Oddychanie za pomocą respiratora było coraz bardziej męczące i bolesne. Rurka intubacyjna nieznosnie ciążyła mi w gardle, a ponadto suchość w ustach, spowodowana ich ciągłym otwarciem, pogłębiała tylko uczucie udreki.

Czułem się okropnie, nie tylko fizycznie, ale także psychicznie: odczuwałem poniżenie i upokorzenie - byłem odżywiany przez kroplówkę, oddychała za mnie maszyna, ale najgorsza była świadomość, że ciążyłem rodzicom, babci, personelowi szpitala. Miałem już dość.

Przyszła mama- poznałem ją po sposobie, w jaki ujęła moją rękę. Nic nie mówiła, przysiadła tylko na łóżku i głaskała mnie po dłoni. Siedzieliśmy tak w milczeniu - ja, bo nie mogłem nic powiedzieć, ona, bo chyba już straciła nadzieję, że ją słyszę.

- Przepraszam, możemy porozmawiać? - czułem jak drgnęła, słysząc niespodziewany głos
- Oczywiście, doktorze.

Wyszli na korytarz, lecz mimo odległości i szumu maszyn słyszałem strzępy ich rozmowy. Mówili o płaskim EWG i śmierci mózgu.

Ze zdwojoną siłą powróciła do mnie uśpiona wcześniej obawa. Przecież ja żyję! Dlaczego oni mówią o mnie, jakbym był martwy?! Jestem tu i słyszę ich, a to, że mam bezwładne ciało nic znaczy, że mogą mnie zabić! Pomyślałem o rodzicach i poczułem ulgę – oni na pewno nic pozwolą mnie skrzywdzić. Moje obawy zniknęły, lecz powrócił ból pulsujący pod czaszką. Znow odpływałem.

Zbudziła mnie czyjaś obecność. W pomieszczeniu była pielęgniarka, nie – dwie pielęgniarki: jedna wyciągała mi wenflon z żyły na przedramieniu, a druga odpinała elektrody czuwające nad pracą serca. Jedynym odgłosem w sali pozostał już tylko szum respiratora. Zaniepokoiłem się. Co one robią? Czy...? Mój niepokój przerodził się w panikę. Zdecydowali się! Naprawdę chcą to zrobić! Oni NAPRAWDĘ chcą mnie zabić!

Usłyszałem kroki. Grupa ludzi weszła do mojego pokoju.

- A zatem są państwo całkowicie pewni swojej decyzji o ...
- Tak - dobiegł mnie stanowczy głos ojca, przerywający lekarzowi pytanie.
- Siostrze... - doktor zwrócił się do pielęgniarki. Stukot butów zbliżających się do mojego łóżka.

Spokój ogarnął mnie tak samo nagle, jak wcześniej strach. Byłem gotów. Nie miałem żalu do rodziców, chcieli mi tylko oszczędzić cierpienia i poniżenia.

Respirator umilkł.

Przez chwilę leżałem nieruchomo, zanim poczułem ból w płucach, a potem w głowie. Serce zaczęło bić szybciej. Usłyszałem cichy szloch matki, potem świat umilkł.

Pograżyłem się w ciemności, lecz innej niż ta do tej pory, w głębokiej i cieplej, jakby zachęcającej. Ból zniknął. Poczułem się szczęśliwy i lekki jak nigdy dotąd. Nareszcie byłem wolny. WOLNY!

Poczułem na ramieniu muśnięcie skrzydła i usłyszałem łagodny szept.

- Chodź!

Powoli odwróciłem się i podążyłem za mym Stróżem.